

# POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXI

WARSZAWA, DNIA 23 MARCA 1929 ROKU

NR. 12

JERZY SZARECKI

## DOMEK KAPITANA DALEKIEJ ŻEGLUGI

2)

Spokojnie popłynęło teraz życie kapitanowi Skalskiemu. Od rana do wieczora grzebał się w ziemi swojego ogródka, kopiąc, grabiąc i sadząc. O domek też dbał bardzo. Zasadził przy ścianach zewnętrznych dzikie wino, przed werandą kwiaty, które codziennie sam polewał, a z tyłu domku całe plantacje porzeczek. Wewnątrz jednak domek wyglądał jeszcze piękniej, niż zewnątrz. Przedewszystkiem uderzała tam przybysza nieprawdopodobna wprost czystość i porządek. Rzecz można bez przesady, że każda rzecz, każdy przedmiot miał tam swoje ściśle co do milimetra oznaczone miejsce, z którego go ruszyć na inne nie było można. Wszystko też w domku tym lśniło i połyskiwało czystością. Porządek ten wypływał nietyle z kawiarnianych nawyknień Anusi, co z czterdziestopięcioletniego przyzwyczajenia morskiego kapitana, który systematyczność i czystość gospodarki na okręcie przeniósł całkowicie do swego domku. Anusia, której ta surowa dyscyplina przedmiotów domowych niebardzo przypadła do gustu, nie wskórać w sensie uczynienia artystycznego nieładu nie mogła, gdyż lwią część doby spędzała poza domem w Gdańsku. Kapitan Skalski w pierwszych miodowych miesiącach sarkał w duchu na tę wietrzność i nadmierną ruchliwość żony, ale później, wspomniawszy swoje słowo i słowo Anusi, przestał się dąsać nawet w duchu. Przestał tembardziej, że jakieś inne bardziej ważne sprawy zaprzętnęły jego umysł. Zaczęło się z nim dziać coś szczególnego.

Anusia, choć nigdy nie przebywała zbyt długo w małym domku z ogródkiem, zauważyła jednak, że znikły gdzieś stare pamiątki morskie kapitana Skalskiego.

Najpierw więc zdjęty ręką kapitana ze ściany spoczął na dnie wielkiego kufra stary, zasłużony barometr, odróżniający się on innych barometrów tem, że tylko kapitan Skalski umiał go odczytywać, potem pamiątkowy log z zamarłą na jakiejś cyfrze wskazówką, która oznaczyła ilość mil najdłuższego rejsu staro marynarza, potem chronometr powędrował z kieszeni kamizelki w czeluście kufra, za chronometrem różne liny, linki, bloki i bloczki, aż wkońcu kapitański mundur z czapką przykrył ten skład „morszczyzny” sam z kolei przyknięty pokrywą.

Nietylko morskich, materialnych przedmiotów pozbywał się kapitan Skalski. Usuwać począł od siebie nawet widoki, myśli i rozmowy, które miałyby coś wspólnego z morzem i jego na niem służbą. Zdawało się, że obraz z widokiem morza, książka o morzu, ma-

rynarz spotkany przypadkowo, nawet chmury na niebie, układając się w fantastyczny kształt okrętu, napędzają nań wspomnienia jakieś, nad wyraz bolesne.

Szczególnie nie znosił kapitan Skalski słuchać opowiadań o morzu. Dziwnie to jakoś nie kojarzyło się z tem, że sam o niem rozprawać lubił namiętnie. Wyjeżdżał zaś w rozmowie z tym tematem jakoś szczególnie i zdaniem osób postronnych nawet głupio. Raz naprzykład podczas przechadzki z gośćmi Anusi po ogródku, gdy panie zachwycać się zaczęły cudnymi głosami słowików, które tręlowały zawzięcie, kapitan Skalski zauważył ni w pięć ni w dziewięć, że mewy morskie „też” kwilią czasami bardzo pięknie. Wywołało to zrozumiałe oburzenie całego towarzystwa, które urażone zostało słowami starego kapitana, dowodzącemi gruboskórności jego w dziedzinie muzyki i śpiewu.

Innym znów razem zdziwił Anusię powiedzeniem, że łany zbóż kołysane wiatrem żywo mu przypominają powierzchnię morza falującą lekko w czasie sztilu<sup>1)</sup>).

Dążąc od zupełnego odseparowania się od wszystkiego, co miało jakąkolwiek styczność z morzem, kapitan Skalski pozrywał wszystkie swoje dawne znajomości z okresu służby morskiej.

To też szczególnie przykrą dlań była niespodziewana wizyta byłego towarzysza z messy, porucznika Mc. Leana.

Porucznik Mc. Lean porzucił służbę na pokładzie „Niobe”, urządziwszy się jako pilot przy kapitanacie portu Gdańskiego.

Po pierwszej wizycie nastąpiła druga, trzecia i czwarta. Porucznik Mc. Lean wyraźnie zadomowił się u kapitana Skalskiego, ustawicznie burząc mu żółć opowiadaniem o tem, które statki, kiedy i jak zawinęły lub odpłynęły z portu Gdańskiego. Stary kapitan nie mógł wyprosić od siebie porucznika, był to bowiem jego dawny towarzysz i przyjaciel, wstydził się zaś wyjawić, dlaczego widok morskiego munduru jest tak przykrym dla niego.

Przykre uczucie kapitana Skalskiego, spowodowane odwiedzinami Mc. Leana, wzrastało w miarę spostrzeżeń, że porucznik i Anusia zaczynają się daryć wzajemnie sympatją i to nawet bardzo gorącą sympatją. Do Gdańska na zabawy jeździła teraz Anusia nie inaczej, jak tylko w towarzystwie porucz-

<sup>1)</sup> Sztıl — bezwietrze.

nika i wracała też pod jego eskortą. Podczas wizyt w małym domku z ogródkiem, Mc. Lean rzadziej już zatruwał życie Skalskiemu opowiadaniem o statkach w porcie Gdańskim, większą część czasu spędzając na intymnych rozmowach z żoną kapitana. Ich słowa, półsłówka, spojrzenia i uściski rąk, nie uchodzące uwagi starego kapitana, doprowadzały go do pasji i czarnej melancholji. Zdawało się mu, że pożycie małżeńskie z Anusią, a wraz z niem i mały domek z ogródkiem chwiać się zaczynają w swych fundamentach.

Obawy kapitana Skalskiego sprawdziły się w pół roku mniej więcej po pierwszej wizycie porucznika Mc. Leana.

Oto dnia któregoś, wróciwszy nieco wcześniej ze swej obowiązkowej, porannej przechadzki, zastał w domu Anusię i porucznika Mc. Leana w strojach i pozycjach, na które nie mogła pozwolić najgorętsza nawet sympatja. Wywiązała się przykra scena. Anusia wybuchnęła histerycznym płaczem, porucznik zasępił się, jak niebo przed sztormem, zaś kapitan Skalski w przystępie wściekłości lunął w nich dobozem takich przekleństw i wyzwisk, że na Anusi, jakkolwiek otrzaskanej z efektami lingwistycznymi gwary marynarskiej, aż skóra ścierpła ze strachu.

W pewnej chwili zdawało się, że kapitan Skalski rzuci się na przeciwnika i zmiążdży go w swych twardych dłoniach, ale stary marynarz zrobił tylko krok w stronę Mc. Leana i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Pal cię diabli, poruczniku! Nie pięknie to trochę z twojej strony, żeś uwiódł żonę przyjacielowi, a zresztą... zresztą... Jabym na twoim miejscu postąpił tak samo. Mąż stary, żona młoda, cóż się tu długo namyślać? Pal cię diabli, poruczniku! Ciężko mi jest na duszy, ale ostatecznie z punktu widzenia marynarza, urazy do ciebie czuć nie mogę. Pal cię diabli!

Mc. Lean, czerwony jak burak i zdruzgotany moralnie tem oświadczeniem, złapał czapkę i wybiegł z pokoju.

Zostawszy sam na sam z żoną, kapitan Skalski

zaczął jej robić wyrzuty, że złamała słowo i przysięgę, że zawiodła jego zaufanie, zniszczyła szczęście i radość małego domku z ogródkiem. Widząc jednak plecy Anusi, wstrząsane łkaniem, machnął ręką i wyszedł z domu na cały dzień.

Wrócił późno wieczorem i odrazu na wstępie zaznaczył, że już niema do Anusi urazy.

— Ja jestem stary — mówił — Mc. Lean młody. Cóż tu się długo namyślać? Gdybym był kobietą, postąpiłbym na twoim miejscu tak samo. — Anusiu kochana — rzekł wkońcu — musimy się rozstać. Dalesze życie razem byłoby męką i dla ciebie i dla mnie. Zostawię ci mój domek i ogródek, jako dar wdzięczności za te chwile szczęścia, które z tobą przeżyłem. Mieszkaj sobie w nim z porucznikiem Mc. Leanem i bądźcie szczęśliwi. A ja... wrócę na morze, popływam sobie trochę. Woła mnie ono do siebie. Ciągnie. Byłem teraz nad morzem, chodziłem po brzegu. I wyobraź sobie, zdawało mi się, że każda fala uderzająca o brzeg szemrze: wróć... wróć. Niema rady, trzeba wracać na morze, nie wytrzymam już dłużej na lądzie. A ty bądź szczęśliwa z Mc. Leanem. Żegnaj!

Kapitan Skalski wrócił na morze i znów zaczął odbywać długie rejsy w kraje dalekie. Trwał jednak nadal w swym lądowym uporze i kupował sobie jeszcze dwukrotnie „mały domek z ogródkiem“. Zawsze jednak przedsięwzięcie kończyło się niefortunnie. Raz kupiwszy sobie domek, posłyszał o wyprawie do Japonji, o której marzył od lat dziecińczych i sprzedał go czempredzej, objąwszy dowództwo okrętu, który wiozł wyprawę. Za drugim razem „łany zbóż kołysane wiatrem przypominały mu powierzchnię morza, falującą lekko w czasie sztilu“ i kapitan Skalski znów porzucił ląd i wrócił na morze.

Pływa on teraz na pokładzie swej starej „Niobe“ i już nigdy nie myśli o „małym domku z ogródkiem“.

K O N I E C

E. M. GARLEANU

Przetłumaczyła AURELJA BOBERSKA

## O K O T U R K A

— Mój przyjaciel mnie zganił:

— Dlaczego stoisz tyle czasu tak posepnie?

— Jestem trochę chory — odpowiedziałem, nie czując się zupełnie zdrów.

— Urojenie! Czy jesteś stara baba? Spójrz wokoło, obacz, jaki świat piękny, a przekonasz się, że cię to uzdrowi. — Jesteś przecie poetą!

Wjechaliśmy na pola zasiane rzepakami; lekki wietrzyk kołysał żółte kwiaty, pozłoczone pierwszymi promieniami zorzy porannej. — Daleko widać było lasy niebieskawe; zdawały się zlewać w jedno, jak chmury na niebie. — Od czasu do czasu wznosił się nagle skowronek, spłoszony tententem kopyt końskich, i świergocąc odlatywał w dal!

— Świeżość poranku pokrzepiła mnie na duchu.

— Jak się czujesz? — zapytał przyjaciel tonem naigrającym.

— Boli mię trochę głowa.

— Przyjaciel wznosił brwi do góry, zaśmiał się nieznacznie, westchnął głęboko.

— Mój kochany, jak to źle, że nie można głowy inną zastąpić, jak oko turka Grzegorza!

Mój towarzysz był znany z opowiadania ciekawych i zajmujących anegdot. — Zdarzenie z okiem Turka musi mieć w sobie coś szczególnego — pomyślałem.

— Opowiedz.

— Było to mniej więcej przed trzema laty. — Jak obecnie, byłem i wówczas powiatowym lekarzem w Urziceni, w po-

blizu Bukaresztu. — Miałem jedną słabostkę: czułem szczególny pociąg do stolicy. Jak ćma do światła, tak ja rwałem się do Bukaresztu. — Jeśli czasem spaliły ci się skrzydła z nadmiernego używania i już latać nie zdołałeś — Bukareszt zawsze ci środków dostarczył na wzmocnienie ich, i wszystko było dobrze. — Ludność powiatu bardzo mię lubiła; spełniałem nawet — ku niechęci popów tamtejszych — funkcje duszpasterza. — Przebaczałem grzechy bez wszelkich formułek — oczywiście i bez zapłaty. — Nie zdziwiło mnie więc wcale, gdy pewnego dnia zaszedł do mnie Turek Grzegorz po radę. — Przedstawił mi chłopaka, dwa razy tak wysokiego i otyłego, jak ja, z ustami mięsistymi, twarzą okrągłą, o jasnych kędzierzawych włosach, wystających z pod dużego, przypominającego słonecznik — kapelusza. Prawą rękę trzymał zawsze u pasa, jak gdyby miał zamiar wydobyć sakiewkę dla zapłaty. — Chód jego był niezwykle: Stąpał ostrożnie, zdając się obawiać, by nie ugiąć ziemi. — Więc, gdy ujrzałem olbrzyma w przedsiönku, spytałem go uprzejmie:

— Jakie wieści mi przynosisz, Turku?

— Dobrze, całuję rączki, panie.

— Cóż tedy?

— Panie, chciałbym się żenić...

Turek wypowiedział te słowa nieśmiało, jakgdybym mu stawiał nieprzeparte przeszkody do osiągnięcia celu.

— Dobrze, Turku, a z kimże to?

— Z Józefą — brzmiała odpowiedź.

— Czy z córką bogatego Saftoiu?

— Tak jest, panie, onaż to!

Dziewczę było jedno z najbogatszych w okolicy, — córką hodowcy karpackiego, właściciela kilku tysięcy owiec.

— Niezły kasek! — zwróciłem się do Turka.

Chłopak ciągnął dalej rozgorączkowany:

— Dostaję posagu niemało! Otrzymam domy w górach, pole, dwie pary wołów, krowę, a nadto trzysta owiec. — Jestto debry posag! — dokończył, wkładając rękę za pas. — Mam i ja wprawdzie pieniądze, lecz nie zawadzi mieć ich więcej.

Mówił z zapałem, lecz nagle opuścił głowę.

— Stary, ojciec jej, chce mnie, gdyż wie, że jestem porządny, pracowity, na stanowisku. Dziewczyna jednak zdaje się kaprysić. — Prawdą jest, ma ona wszystkiego pod dostatkiem, niczego jej nie zbywa, a ja co mam?

— Czegóż ci brakuje? — spytałem.

Turek nie odpowiedział wprost na pytanie.

— Jej nic nie brak, jest cała. — Ale ja, wiecie przecież, jestem kaleką.

I poskrobał się w głowę.

Teraz go zrozumiałem. — Zapomniałem ci wspomnieć o najważniejszym: biedny Turek stracił w bójce oko, i z tego powodu musiał długi czas przebyć w szpitalu. — Co prawda, brak oka nie czynił ujmy jego okazałej postawie, dziewczę było widocznie innego zdania.

— Jeśli cię nie chce takim, jakim jesteś, nie kocha cię?

— Eh, może i kocha, ale chciałaby, żebym miał dwoje oczu.

— Czegóż tedy chcesz odemnie?

Turek silnie wciągnął powietrze w piersi, co oznaczało, że ma mi powiedzieć coś ważnego.

— Właśnie dlatego przyszedłem do was, panie. — Wczoraj, siedząc przy kuflu piwa z towarzyszem, rozmawialiśmy o tem i owem, aż tok rozmowy przeszedł na dziewczynę.

— Jesteś głupi! — mówi do mnie przyjaciel.

— Dlaczego?

— Masz pieniędzy pod dostatkiem, a oka sobie włożyć nie dasz?!

I mówi dalej:

— Mój pan ma włożone oko, a widzi nim tak samo, jak ja i ty.

— Co ty mówisz?!

— Żebym nie doczekał dnia jutrzejszego, jeśli kłamię! — zaklął się.

Poczem poradził mi udać się do pana z prośbą o wskazanie, dokąd nam się w tej sprawie zwrócić. Przyrzekam dać 4 złote temu, kto mi oko włoży!

— Dlaczegożby nie mógł mieć mój Turek szklanego oka — pomyślałem. — Dnia następnego miałem jechać do miasta. Mówię więc do Turka:

— Dobrze, chłopcze, możemy i tobie, skoro chcesz, oko włożyć. — Jutro wczesnym rankiem przyjdź do mnie.

Następnego dnia, około południa, byłem wraz z nim w Bukareszcie. — Turek, w dużym swoim kapeluszu, podobnym do koła wozowego, w wysokich jutowych butach, — postępował za mną. — Przybyliśmy nareszcie do sklepu. — Turek zdjął kapelusz, a wchodząc do wnętrza, schylił się, by nie zawadzić głową. Obejrzał się nieśmiało. — Na widok tajemniczych przedmiotów, tkwiących w szafach, westchnął głęboko, aż papiery na najbliższej półce posypały się na ziemię. — Kilka pań, znajdujących się w sklepie, ulotniło się z pośpiechem.

Zwróciłem się do znanego mi właściciela sklepu, ogromnej tuszy niemca w okularach, prosząc, by chłopakowi włożył oko.

Turek zbliżył się i dodał pouczająco:

— A baczcie jeno, by było podobne do mego oka.

Niemiec uśmiechnął się i podprowadził Turka do okna, by stwierdzić kolor jego oczu. Później szukał długo po szufladach i szufladkach, aż wreszcie mruknął i posadził Turka na krześle. — Jeszcze chwila, i Turek odzyskał drugie oko. Niemiec powiódł go do lustra. Turek patrzył przez chwilę w niemym zachwycie, twarz mu się rozjaśniła, usta otwarły się. Chwycił się ręką za kark, i zawołał:

— To już jest moje oko i basta!

I nie mogąc nadziwić się sobą do syta, dodał:

— Jednak teraz inaczej wyglądam?

Gdy przyszło do zapłaty — Turek widząc, iż mniej zażądano, aniżeli to sobie przedstawiał, nie chciał temu wierzyć. — Przez czas jakiś stał z ręką za pasem, jakby czekając, czy niemiec nie zażąda więcej, lecz przekonawszy się, że sprawa zapłaty już zakończona, podziękował mu serdecznie.

W oberży, gdy mieliśmy już wracać do domu, pytam Turka:

— Jak się czujesz?

On, obejrzwawszy się wokoło ostrożnie, szepnął mi do ucha:

— Nieźle, ale nie zdaje mi się, ażebym całkiem przeoczyście przez to oko widział!

We wsi wieść o odzyskaniu oka przez Turka rozeszła się rychło. — Obracano go i podziwiano ze wszech stron, i tegoż wieczora jeszcze odbyły się zaręczyny z córką bogatego pasterza.

Dnia następnego wczesnym rankiem wchodzi matka mego Turka. — Byłem pewny, że starucha przychodzi składać mi podziękowanie. Gdzież tam! Zatrzymała się w drzwiach, ręką podparła głowę i westchnawszy głęboko, mówi z gorzkim wyrzutem:

— Panie, lepiej by było, gdybyście byli zostawili mego chłopaka jego losowi. — Teraz, gdy odzyskał wzrok, zaciągną go do wojska, co się ze mną stanie?!

— Czy ci już lepiej? — zapytał przyjaciel, kończąc swe opowiadanie.

Odpowiedziałem mu:

— Jesteś sławnym lekarzem.

# Z cyklu „MORZE“

BOHDAN PAWŁOWICZ

## NA BALTYKU

Na nocnej służbie stoję — policzki wicher pieści,  
Zawodzi dzikie pieśni skroś wantów i lin zwoje,  
Do uszu baśnie gada te z treścią i bez treści,  
A przecie takie drogie i takie bardzo moje!

Nademną masztów, żagli białawe piramidy  
W ciemnościach pną się smukłą ku niebu kolumnadą,  
A wokół mnie zadumy, maskary, duchy, zwidy;  
Światowid, Trygław, Maja, o Łado, Łado!

Słowiański szumi Baltyk, krew krzywdą dziką płacze,  
Skłoniła płacze serce i łza zabłysła w cieniu,  
Skłoniła myśli, czucia, radości i rozpacze  
W sferlałem smutnych ludzi żyjącem pokoleniu!

## DZIĘKI CI ZA TO...!

Noc rozpostarła ponad oceanem  
Ciemności płachtę, tajemnicę cienia,  
Snują się myśli pełne zachwycenia  
O czemś dalekiem, o czemś kochanem.

Snują się przedzą splątana, bogata,  
W rycerskiej pieśni, zapomniane baśnie,  
Z morza wynurza księżyc twarz pyzată,  
Rozbłyska srebrem i za chmurą gaśnie.

## STANISŁAW MIODUSZEWSKI

## PORT

Wybrzeża obsiadły krany i okręty,  
by iść w zapasy z nieobjętym Morzem,  
inżynier — napastnik podstępny i kręty,  
zamierzył się na słońce sekstanssem i nożem,  
niwelatorów luży dokładne i lśniące  
na drobne stopnie pocięły Horyzont,  
drugi — mokre polipy, mułem rzygające,  
z charkotem i chrzęstem dno morskie ryją, gryzą,  
nurek opancerzony, zakuty w skańder  
wydarł dna tajemnicy — kilkanaście metrów:  
na rułach holowników w pióropuszcach bander  
łopocze już zwycięstwo na podmuch wiatru.  
A Morze, wielkie, potężne, niezmierzone Morze?!...  
drzemie ciche, spokojne. Jest już takie stare!  
zbyt wielkie by się gniewać — uśmiecha się czasem  
i szle brzegom swarliwym fale srebrno-szare.  
Fale drobniutkie, małe—co skał tyle przemełły na piasek.

## MARYNARZE

Twarze smagłe, surowe, wichrami spalone,  
w piersiach szerokich serca ze spiżu i złota,

...O dzięki za to, że na gwiazd okruchu  
Jesteś i żyjesz, że z piękna zrodzony  
Idziesz przez ziemi i morza nurt słony:  
Wielki, potężny, a nieznany Duchu!!!

## CISZA NA MORZU

Cisza na morzu...

W chybotliwym ruchu  
tacza się statek poprzez martwą falę,  
pokład paruje w słonecznym upale,  
żagle się w rzadkim trzepocą podmuchu.

Stęgi żałośnie piskliwymi śpiewy  
opowieść snują, a klaskanie szkotów  
w rytm się układa...

W skroniach, tętnem młotów,  
huczy krew młoda, a okrzyki mewy  
w mózg się boleśnie wdzierają — przekorne.

— Myśli wy moje, myśli moje dumne,  
Wesołe, smutne, szydercze i korne,  
czemu wspomnienia przyzywacie tłumne,  
czemu o woni łąk rodzinnych śnicie,  
czemu to w złotem kąpiecie się zbożu?

— Tu wokół woda!

Śniesz ty moje życie  
Zapalne, rącze, śniesz?...

Cisza na morzu...

oczy bystre — jak rysie do skoku sprężone,  
bicepsy — lin przemyślnie zawiązany węzeł,  
którego żadna burza nie rozmoła.

Okręty, smoki, kobiety i węże  
na piersiach mają wytatuowane,  
na twarzach srogich wyryło im Morze  
orkanów wichry i jutrzemek zorze  
i wśród żywiołów rejsy rozpętane.

Do krajów, miast, ludów i portów nieznanym  
ruszają, gwiazdy jeno mając za sternika  
i noże w pochwach trzymając skórzanych,  
noże — którymi łatwo jest rozkroić chleb —  
jak serce przeciwnika...

## BÓJKA

Bójka powstała z blahego powodu —  
czyż krew, burza, młodość ma swój powód?!...

runął fiaszkami zastawiony bufet,  
szkłem prysnął o ścianę kryształowy kufer

i dwie gromady splotły się w kłęb węży,  
z błyskającymi nożami u ramion - sprzężyn.

Nim kto zauważył, było już po bitwie —  
na ziemi płasko leżał cień — i ranny marynarz

[z „Rybitwy“